

Edward FERENC

BYŁ DLA NAS DAREM

"Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą
zostaną po nich buty i telefon głuchy"

ks. Jan Twardowski, *śpieszmy się*

Wiem z opowiadań Wojciecha Chudego, że po ukończeniu liceum ogólnokształcącego w roku 1972 pisał do kilku uczelni, między innymi do Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, z pytaniem, czy są na nich warunki umożliwiające studia osobie niepełnosprawnej. Odpisał tylko pan Edmund Leszczuk, kierownik dziekanatu filozofii chrześcijańskiej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, informując, że nie widzi przeszkód w przyjęciu na studia osoby niepełnosprawnej, wspominał też o możliwości zakwaterowania w Państwowym Domu Pomocy Społecznej przy ulicy Głowackiego w Lublinie. Pan Leszczuk to legenda tamtych czasów. Był tak miły i życzliwy dla wszystkich, że studenci i pracownicy nazywali go Miodkiem. Kiedy zdezorientowani studenci zwracali się do niego "panie Miodek", zawsze kwitował pomyłki rozbajającym uśmiechem.

Po raz pierwszy zobaczyłem Wojciecha w czasie egzaminów wstępnych. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że on też zdaje na filozofię. Wychodziłem z dziedzińca KUL przez stary fronton. W tym nieistniejącym już dziś frontonie, z lewej strony - z perspektywy dziedzińca - znajdowały się szerokie łamane schody prowadzące na piętro. (Niżej schodziło się do tak zwanego Hadesu, gdzie mieściła się słynna, stale zadymiona kawiarnia studencka). Wypatrzyłem ich, kiedy byli chyba na wysokości półpiętra. Wojciechowi towarzyszyła tylko jego mama, więc był to naturalny odruch: podbiegłem i zaproponowałem jej pomoc w zwiezieniu Wojciecha na wózek.

Ponownie spotkaliśmy się w październiku, już jako studenci pierwszego roku filozofii teoretycznej. Wówczas, na początku lat siedemdziesiątych, było nas niewielu. Władze komunistyczne ograniczały możliwość przyjmowania większej liczby studentów na Katolicki Uniwersytet Lubelski, zwłaszcza na filozofię; limit przyjęć na ten kierunek wynosił zaledwie pięć osób (dla zainteresowanych oznaczało to, że na jedno miejsce przypadało około

dziesięciu, piętnastu kandydatów). Na naszym roku było nas sześcioro - pięciu chłopców i jedna koleżanka, Wanda Zabłocka, córka znanego posła PAX-u. Wojciech - z racji swojej niepełnosprawności i wynikającej stąd trudności spełnienia warunku regularnego uczęszczania na wszystkie zajęcia w ramach studiów stacjonarnych - był przyjęty jedynie na studia eksternistyczne. Dopiero na drugim roku liczba studentów z naszego rocznika wzrosła - zmienił się także formalny status Wojciecha jako studenta. Stało się tak dlatego, że władze uczelni sprytnie omijały ideologiczny przepis narzucający limit przyjęć i stopniowo zwiększały liczbę studentów na starszych latach - na pierwszy rok i na wyższe lata przyjmowano bowiem wolnych słuchaczy, którzy po roku uzyskiwali pełne prawa studenckie; na przykład księża po drugim roku seminarium duchownego przyjmowani byli od razu na trzeci rok studiów. W rezultacie takich "zabiegów" na naszym drugim roku studiowało szesnaście osób.

Wojciech zaczął uczęszczać na zajęcia z pewnym czasowym poślizgiem - chyba od piątego dnia. Na swoje pierwsze zajęcia na pierwszym roku studiów też przyjechał z kilkunastominutowym opóźnieniem. Od razu wiadomo było, że będzie potrzebował kogoś, kto odwiezie go po zajęciach do Domu Pomocy. Wtedy przypomniałem mu tamto lipcowe spotkanie na schodach. I tak zaczęły się nasze wspólne wyprawy na uczelnię. Przez jakiś czas pomagałem mu nie tylko ja, ale i inni koledzy: Lech Kawecki, Zenon Mazurczak i Michał Sokołowski, ale w pewnym momencie znalazłem się najbliżej jego miejsca zamieszkania. Początkowo, do połowy października, mieszkalem w akademiku męskim na ulicy Niecałej, która wtedy nazywała się Sławińskiego (a jeszcze wcześniej, w latach stalinowskich - Wyszyńskiego, krwawego stalinowskiego prokuratora; przemianowano ją podobno po tym, jak studenci KUL z tamtejszego akademika w okresie uwięzienia prymasa Wyszyńskiego demonstracyjnie podawali jako swój adres: ul. Prymasa Stefana Wyszyńskiego). Przypadkiem spotkałem znajomego lekarza, dziś już nieżyjącego doktora Tadeusza Baranowskiego, który - jak się okazało - był kierownikiem tak zwanego Profilaktyka, międzyuczelnianego akademika dla studentów z problemami zdrowotnymi. Akademik ten mieścił się w pobliżu kina "Kosmos", skąd było mi znacznie bliżej do miejsca zamieszkania Wojciecha. W takich przypadkach nie ma przypadków, jak mawia ks. prof. Tadeusz Styczeń. Ów życzliwy lekarz zaproponował mi przeniesienie do Profilaktyka, a ja chętnie skorzystałem z tej oferty, z myślą o tym, że będzie taniej, bliżej uczelni i że wspólne z Wojciechem wędrówki na zajęcia staną się łatwiejsze.

Dobrze pamiętam pierwsze z zajęć na naszych studiach filozoficznych - ćwiczenia z metafizyki, cudowne zajęcia prowadzone przez panią doktor Elżbietę Wolicką; był to czas

uczenia się języka filozoficznego. Czytaliśmy *Dialogi* Platona, referowaliśmy je i dyskutowaliśmy. Omawialiśmy również *Wprowadzenie do metafizyki*¹ prof. Antoniego B. Stępnia. Byliśmy wtedy jeszcze "zieloni" i onieśmieleni, nie wiedzieliśmy, jak wyrażać swoje myśli w terminologii filozoficznej. Doktor Wolicka (nazywana powszechnie Agatą) oswajała nas z tą dziedziną, dodawała odwagi i zachęcała do wypowiedzi. Dzięki temu pełne ekspresji wykłady o. prof. Mieczysława A. Krąpca z metafizyki stawały się dla nas mniej hermetyczne, a bardziej klarowne i barwne. Nie tylko rozumieliśmy już liczne żarty i anegdotki, którymi Ojciec Profesor ilustrował tajniki metafizycznego oglądu rzeczywistości, ale i transcendentalia zyskiwały bardziej "ludzki" wymiar. Później, po zajęciach, wybuchały dyskusje. W kawiarni w podziemiach, a potem, kiedy stary fronton zaczęto burzyć, w pobliskim Domu Nauczyciela, gdzie chętnie spotykali się studenci filozofii, toczyliśmy dysputy przy herbacie (niekiedy wzmocnionej jakąś socjalistyczną brandy). Poznawaliśmy otoczenie i wspólnotę, którą mieliśmy odtąd współtworzyć, i doświadczaliśmy studenckiego życia.

Na pierwszym roku mieliśmy wykłady z ojcem profesorem Krąpcem, z ks. prof. Marianem Kurdziałkiem, a także z księdzem profesorem Stycznem - to była prawdziwa uczta filozoficzna! Od początku pociągała nas metafizyka, ale Wojciech bardzo interesował się także matematyką. Kiedy więc nadszedł czas wyboru zajęć fakultatywnych, zdecydował się właśnie na profil matematyczny. Ja wolałem etykę, zapisałem się jednak do tej samej grupy co Wojciech, żebyśmy mogli nadal razem uczęszczać na zajęcia. W ten sposób ominęły mnie, niestety, seminaria z etyki prowadzone przez Karola Wojtyłę - a także greka (czego już jednak mniej żałowałem). Wprawdzie matematyka nigdy nie stała się moją miłością, ale miło wspominam przesympatycznych wykładowców, pasjonatów, istnych "matematycznych szaleńców": ks. dr. Franciszka Jakóbczyka i jezuitę o. dr. Jerzego Szelmeczkę (ojciec Szelmeczka był także mistrzem gry na organkach ustnych, na których z upodobaniem wygrywał nam kolędy podczas opłatków sekcyjnych).

Z innych zajęć pamiętam seminaria z historii filozofii prowadzone przez profesora Stefana Swieżawskiego. Odbywały się w niedużej, wąskiej, pełnej książek sali Zakładu Historii Filozofii Nowożytnej. Na stole stała zawsze wielka świeca, taka jak z ołtarza, i Profesor zapalał ją niemal rytualnie, choć też z aluzyjnie demonstrowaną rezygnacją. Dlaczego to robił? Dlatego, że na seminaria przychodził też jego adiunkt pan doktor Jan Czerkawski, który palił papierosy, jednego za drugim, a płonąca świeca pozwalała

¹ Zob. A. B. S t ę p i e ń, *Wprowadzenie do metafizyki*. Znak, Kraków 1964.

wyeliminować zapach nikotyny. Na seminarium zwykle jadalіśmy ciastka i piliśmy herbatę bądź kawę, przynieszone przez ówczesnego proboszcza kościoła garnizonowego księdza pułkownika Stanisława Obszyńskiego, który też chodził na te zajęcia (a że pojawiał się zawsze w mundurze, profesor Swieżawski lubił żartobliwie nazywać go Księdzem Generałem). Sposób prowadzenia seminariów przez profesora Swieżawskiego, jego dialog ze studentami, ogromna życzliwość, piękny język i urok osobisty sprawiały, że czuliśmy się partnerami w dyskusji. Nawet w najbardziej nieudolnej wypowiedzi studenta potrafił znaleźć jakieś wartościowe elementy, które potem swoimi słowami dopełniał. Te właśnie wzorce Wojciech realizował później, już jako samodzielny pracownik naukowy, w prowadzonych przez siebie zajęciach. Dobrą szkołą metodyki prowadzenia zajęć były także seminaria z teorii poznania prof. Antoniego Stępnia. To była nasza kuźnia prac seminaryjnych i magisterskich, uczenia się odpowiedzialności za słowo, klarowności i precyzji pisemnej wypowiedzi, a także dyskusji nad jej oceną.

Podziw budziły krążące opinie o ks. Andrzeju Wawrzyniaku jako o najlepszym znawcy marksizmu w Polsce. To był ów wymiar fachowości, z którą stykaliśmy się na co dzień. Profesor Stępień miał nawet swój prywatny ranking znawców marksizmu w Polsce - w pierwszej dziesiątce bynajmniej nie mieścili się ówczesni rządowi i ideologiczni przedstawiciele tego nurtu.

Con amore spieszyliśmy z Wojciechem zawsze na wykłady ks. prof. Mariana Kurdziałka. Co roku pierwszy wykład po nadejściu wiosny ksiądz Kurdziałek skracał z dwóch godzin do jednej, mówiąc swym charakterystycznym, subtelnie kordialnym głosem: "Proszę państwa, wiadomo, zaczynają się przełomy wiosenne, więc wykład będzie krótszy". Egzaminu u niego były prawie bezstresowe. Ksiądz Kurdziałek zawsze żartował, że sesja egzaminacyjna to najlepszy czas w życiu studenta - dodatkowe ferie przerywane tylko egzaminami. W tym też duchu egzaminował. Zadawał pytanie i przy braku reakcji pytanego sam zaczynał na nie odpowiadać. Gdy chwyciło się wątek, należało wykazać się refleksem i podjąć temat. W przeciwnym razie - gdy błogo zasłuchany w słowa Księdza Profesora egzaminowany milczał - spotykał się za jakiś czas z wyrzutem egzaminatora, że pozwala mówić tylko jemu. Obniżało to jakoś notę końcową... i zawstydzalo, bo nie zdać u księdza Kurdziałka byłoby doświadczeniem deprymującym i nagannym, więc staraliśmy się raczej przyzwoicie przygotować. Wojciech był zawsze "obkuty", nie miał z tym problemu; ja musiałem się czasami jednak pilnować, aby nie zapomnieć o owym refleksie, i gdy trzeba - współpracować z egzaminatorem.

Co do owego "obkucia"... pamiętam tylko jedną sytuację odmienną - na pierwszym zbiorowym egzaminie (chyba wyjątkowo pisemnym - chociaż zakończonym rozmową z egzaminatorem). Był to nasz pierwszy egzamin u księdza Stycznia - również należący do tych, na które nie wypadało przyjść nieprzygotowanym. Jakoś w takiej "zbiorczej pisemnej formie" w postaci testu składającego się z kilku pytań, która nie przypadła nam do gustu i była zbyt "ekspresowa" jak na nasze oczekiwania - bo ksiądz Styczeń gdzieś bardzo się śpieszył i chciał szybko uporać się z sesją egzaminacyjną - obydwu nam nie poszło najlepiej, w każdym razie tak to wyglądało z perspektywy naszej samooceny. Tymczasem ksiądz Styczeń niespodziewanie potraktował nas bardzo pobłażliwie... i wstawił piątki. Dla nas jednak tym razem, w naszym odczuciu, były to oceny wyraźnie "na wyrost". Wojciech przeżył to bardzo "honorowo" i nieomal ze wstydem, odczuł bowiem ten życzliwy gest Księdza Profesora jako fory dawane niepełnosprawnemu i jego koledze, który mu pomagał. Później często do tego nawiązywał jako do przestrogi, aby nie pozwolić sobie ponownie znaleźć się w tak "ulgowej" sytuacji egzaminacyjnej. Fascynacja wykładami kursorycznymi z etyki ogólnej oraz moralnym przesłaniem "Małego Księcia" - z katedry uniwersyteckiej i tego z kart zalecanej przez księdza Stycznia lektury książki Antoine'a de Saint Exupéry'ego - szczególnie wszak zobowiązywały...

Najlepiej jednak zapamiętałem egzamin z logiki. Zdawaliśmy go razem z Wojciechem jako nasz pierwszy wspólny egzamin. Wynik był rewelacyjny. Taka pomyślna egzaminacyjna inicjacja działała mobilizująco i dawała nadzieję - zwłaszcza w przypadku tak surowego egzaminatora. Zapewne pomógł w tym także kojący patronat pani doktor Anny Buczek, asystentki Księdza Profesora, która prowadziła wtedy z nami ćwiczenia z logiki. Nazwisko egzaminatora mówi wszak samo za siebie: ks. prof. Stanisław Kamiński, dziekan albo... "pra"-dziekan Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej (jak to określił dopiskiem na wizytówce na drzwiach dziekanatu jakiś dowcipny student), a także postrach studentów uczęszczających na wykłady kursoryczne z logiki, zwłaszcza zaś postrach podczas egzaminów z ogólnej metodologii nauk. Wśród studentów krążyły o nim anegdotki podawane w żartach, ale i z nutą trwogi: a to o "rekordzistach" podchodzących osiemnaście razy do egzaminu z metodologii nauk, a to o desperatach koczujących i nocujących na materacach pod drzwiami jego pokoju w konwiktach, o jego żartach i przytykach pod adresem uczestników "sesji naukowców", jak kpiąco nazywał jesienną sesję poprawkową... Kiedyś znaleźli się nawet niewybredni dowcipnicy, którzy okrutnie zemścili się na Księdzu Profesorze za to "egzaminacyjne gnębienie", umieszczając na tablicy ogłoszeń kościoła akademickiego sporządzoną przez siebie, a do złudzenia podobną do prawdziwej... klepsydrę o nagłej śmierci

księdza Kamińskiego. Panie pracujące w dziekanacie filozofii opłakały już śmierć ukochanego szefa, zanim naocznie się przekonały, że był to tylko złośliwy studencki wybryk. Wszystkie emocje i trudne przeżycia wynagradzane zostawały jednak prawdziwym mistrzostwem, nomen omen "Kamienia", w logicznym i metodologicznym przysposabianiu studentów KUL - co owocowało precyzją wypowiedzi, przejrzystością artykułów, logicznością dyskusji. Na forum światopoglądowych utarczek był to też naukowy warsztat nie do przecenienia.

Na zajęcia z doktorem Leonem Cyboranem, który wykładał historię filozofii indyjskiej i uczył nas sanskrytu, także chodziliśmy wspólnie z Wojciechem. Wykładowca ten wprawdzie dość szybko odkrył moje małe predyspozycje do uprawianej przez niego dyscypliny, ale zawsze życzliwie tolerował moją obecność na swych zajęciach. Być może Wojciech rekompensował mi w dwójnasób mój dostrzegalny brak zaangażowania. Czasami wychodziliśmy całą grupą do parku i tam, w Ogrodzie Saskim, odbywały się zajęcia z filozofii indyjskiej. Doktor Cyboran miał niezwykłą osobowość, emanował z niego prawdziwie wschodni duch, dla pewnych środowisk był swoistym guru. W roku 1986 w serii "Biblioteka Klasyków Filozofii" ukazała się książka *Klasyczna joga indyjska*², zawierająca jego polski przekład *Jogasutr* Patańdzalego oraz komentarz *Wjasie* - dzieło życia Leona Cyborana, który niestety nie doczekał już jego druku. Miał swoich wiernych formalnych i nieformalnych studentów zafascynowanych filozofią Wschodu, którzy tę relację mistrza i ucznia kultywowali i wiernie podtrzymywali aż do jego niespodziewanej, tajemniczej wprost śmierci w roku 1977 na ulicy w Warszawie, pod kołami samochodu... Później mówiło się o niewyjaśnionych okolicznościach tego wypadku (określenie "nieznani sprawcy" nie było jeszcze popularne). Wzmianki i sugestie na ten temat znalazły się w dedykowanym Leonowi Cyboranowi numerze "Filozofii", czasopisma studentów filozofii KUL. Zeszytem tym (1978, nr 2) pragnęliśmy podziękować mu za jego wielkie serce i charyzmat nauczyciela. Wiem, że żona doktora Cyborana to nasze swoiste epitafium przyjęła z wielkim wzruszeniem i wdzięcznością.

To właśnie Wojciech reaktywował przy Kole Filozoficznym Studentów KUL "Filozofię. Czasopismo naukowe studentów Wydziału Filozoficznego KUL" w roku 1977, po przeszło dwudziestu latach od ukazania się jego ostatniego numeru. Pismo wydawane było jedyną dostępną wówczas metodą - przepisywania na maszynie (maksymalnie w czterdziestu egzemplarzach i "tylko do użytku wewnętrznego", jak głosiła odpowiednia klauzula na

² Zob. *Klasyczna joga indyjska. Jogasutry przypisywane Patańdzalemu i Jogabhaszja czyli Komentarz do Jogasutr przypisywany Wjasie*, tłum. L. Cyboran, PWN, Warszawa 1986.

stronie tytułowej - na tyle zezwalało ówczesne prawo). Po ukazaniu się dwu numerów o nadesłanie egzemplarza do swoich zbiorów upomniały się Biblioteka Narodowa i Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Gdy odpisaliśmy, że nie posiadamy już wolnych egzemplarzy, zamówiły do swoich zbiorów odpłatne kserokopie wszystkich wydanych numerów (łącznie z archiwalnymi z lat pięćdziesiątych). Powoływały się przy tym na prawo do tak zwanego egzemplarza obowiązkowego, chociaż egzekwowanie go w przypadku publikacji ukazującej się poza zasięgiem cenzury było wyraźnie "na wyrost", gdyż władze zakazały gromadzenia publikacji bezdebitowych (także bibliotekom uniwersyteckim - czego bodajże nie przestrzegał konsekwentnie jedynie dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej KUL Andrzej Paluchowski, gromadząc wszelkiego rodzaju publikacje ukazujące się poza cenzurą, a ukrywając je czasowo w cennych zbiorach wydzielonych jako tak zwane cymelia).

Reaktywowanie "Filozofii" więc, powtórzmy, było pomysłem Wojciecha, pomimo to zachował skromne miejsce zastępcy redaktora naczelnego (redaktorem naczelnym pisma został ówczesny student, prezes Koła Filozoficznego, Włodzimierz Dłubacz; kuratorem z ramienia opiekuna Koła Filozoficznego - dr hab. Jan Czerkawski). Wspólnie przeglądaliśmy pierwsze osiem numerów czasopisma z lat 1954-1956, w którym pisywali nasi ówcześni profesorowie i inne przyszłe osobistości naukowe. Uznaliśmy, że skoro można było "Filozofię" wydawać w latach stalinowskich, to tym bardziej warto przywrócić ten tytuł, gdy nobilitowały go uznane w filozoficznym środowisku nazwiska. A że interesowały mnie wówczas paradoksy geometryczne, wyrysowałem figurę trójkąta przechodzącego w okrąg nawiązującą jakoś w popularnej interpretacji do idei filozofii platońskiej. Wojciech uznał, że to dobry emblemat czasopisma filozoficznego i umieściliśmy ją na okładce. (Przed czterema laty studenci filozofii ponownie reaktywowali pismo i zwrócili się do mnie o udostępnienie praw autorskich do tamtej okładki oraz o przystosowanie jej do mniejszego formatu i do możliwości składu komputerowego; zrezygnowali jednak z tego pomysłu, ponieważ - jak mi powiedziano - ktoś im zasugerował, że przedstawia symbole masońskie!³ Tak oto po latach z naszą spontaniczną inicjatywą graficzną zostaliśmy z Wojciechem "przeniesieni" ze świata idei platońskich w całkowicie obcy nam świat idei masońskich...).

Kiedyś udało się Wojciechowi nakłonić księdza Wawrzyniaka - mimo jego oporów - do prowadzenia wykładów z filozofii dziejów; nie uległ on już jednak namowom do ich

³ Tymczasem w słowie od redakcji to właśnie Wojciech wyraźnie napisał: "[...] o młodości a jednocześnie o zakorzenieniu w tradycję programu nowej "filozofii" mówi też jej okładka: można w niej znaleźć platoński trójkąt, koło Alanusa z Lille oraz spiralę Eriugeny i Hegla". Zob. *Filozofia. (Nowa seria)*, 1(9) maj 1977, s. 5.

publikacji w "Filozofii". Tekst został jednak wydany bez autoryzacji. O tym, że autor w końcu Wojciechowi to wybaczył, świadczy fakt, że po pewnym czasie polecał ten numer "Filozofii" jako lekturę uzupełniającą do swoich wykładów.

Wojciech umiał bardzo szybko wyczuwać i doceniać zalety nauczycieli. Na wykładach i zajęciach robił też świetne notatki - schematyczne, piętrowo skonstruowane, pełne definicji i rozróżnień, z wypracowywanym stopniowo, rozległym systemem skrótów i symboli (z upodobaniem używał greckiego alfabetu, a także niektórych symboli matematycznych i znaków logicznych), ale jakże przejrzyste, czytelne i treściwe! Odzwierciedlały one idealne wyważenie proporcji: czasu dostępnego podczas wykładu, precyzji umysłowego porządkowania, przetwarzania na bieżąco przekazywanych przez wykładowców wiadomości, a następnie schematyzowania ich i ...mozolnego trudu notowania niepełnosprawnymi dłońmi. Uczyłem się przy nim tej sztuki zapisu myśli, byłem podglądaczem i naśladowcą, ale nigdy nie zdołałem mu w tym dorównać. Podążaliśmy przeto każde z naszej paczki w różnym stopniu samodzielnie, ale jednak zasadniczo wspólnie (zwłaszcza ja i Ania Hasińska, która na drugim roku dołączyła do naszego roku i do naszego duetu) tropem intuicji Wojciecha, korzystaliśmy z jego rozeznania wśród obowiązkowych i nadobowiązkowych zajęć, gościnnych wykładów, czwartków filozoficznych, spotkań z ciekawymi ludźmi, Tygodni Filozoficznych i ogólnouniwersyteckich uroczystości. Fascynowała nas otwarta, partnerska współpraca kadry naukowej ze studentami, godne traktowanie każdego, uczciwe wymagania i oceny. Był czas na otwartą dyskusję, a także na wspólną modlitwę, na opłatkowe spotkania, a nawet na eutrapelijny dowcip i żart - zarówno wzajemnie z samych siebie, jak i z naszych wykładowców. Tę dobrą regułę potwierdzają nawet nieliczne przypadki męczenników Eutrapelii - "cnoty dobrej zabawy" - bo gdy przy pewnej okazji student Antoni B. Stępień utracił stypendium z powodu eutrapelijnych żartów pod adresem kogoś o małym poczuciu humoru, podobno był dyskretnie finansowo wspierany przez innego z profesorów, aby mógł przetrwać ów trudny okres popadnięcia w niełaskę i przejściowych szykan (w następnym semestrze stypendium zostało przywrócone). Ach, zobaczyć i przeżyć raz jeszcze jubileuszową Eutrapelię - "Akademię ku czci Tosia" (prof. Antoniego B. Stępnia) - zainscenizowaną à rebours z udziałem asystentów i profesorów parodiujących samych siebie: księdza Kamińskiego (w peruce z rozwianym włosom, bębniącego jak jazzman wałkami w krzesło - mam to niepowtarzalne zdjęcie!), profesora Stępnia (z fantazyjną muszką i z chryzantemą w butonierce, akompaniującego na pianinie), ks. Andrzeja Szostka i pana Czerkawskiego (w podobnych muszkach w grochy, śpiewających w duecie z mikrofonami w ręku)... Bezcenne!

Z Wojciechem dzielaliśmy nie tylko zainteresowanie filozofią, ale i inne pasje. Jedną z nich było kino, inną - teatr, przede wszystkim była to fascynacja spektaklami Sceny Plastycznej KUL Leszka Mądzika, wyrażająca się w żarliwych dyskusjach o nich i w filozoficznym namyśle nad ich symboliką. Sam Wojciech teatrem interesował się o wiele głębiej i szerzej. Prenumerował "Dialog" i regularnie czytał także inne periodyki teatralne. Uwielbiał sztuki Williama Szekspira. To była jego pasja i intuicja filozofa-personalisty. Nie bywał może często w teatrze, bo nie miał ku temu motorycznych możliwości, a we mnie na tyle spolegliwego w tym aspekcie towarzysza, a przecież jakaś sztuka Augusta Strindberga w Teatrze im. Juliusza Osterwy zachęcała nas jednak kiedyś do wspólnego jej przeżycia. Czym innym był jednak film - to już nasza wspólna droga duchowych peregrynacji. W tamtych czasach, kiedy repertuar kin był bardzo zawężony i reglamentowany ze względów ideologicznych, korzystaliśmy głównie z Dyskusyjnych Klubów Filmowych (słynne DKF-y), gdzie ograniczenia były mniejsze. Kupowaliśmy karnety i regularnie chodziliśmy na seanse, a potem prowadziliśmy dyskusje i analizy języka filmu, jego wielowarstwowych znaczeń. Profesor Stępień prowadził wtedy na KUL wykłady z estetyki filmu, które cieszyły się ogromnym zainteresowaniem studentów i miały znaczny wpływ na kształtowanie gustów świadomych i wymagających miłośników kina. Wykłady Stępnia poświęcone estetyce muzyki zaowocowały z kolei zainteresowaniem koncertami muzyki poważnej. Wożąc Wojciecha do filharmonii, sam z coraz większym zaangażowaniem słuchałem muzyki klasycznej. W filharmonii, która wówczas mieściła się w gmachu Teatru im. Juliusza Osterwy, były niebezpieczne schody, ale spotykaliśmy się z dużym zrozumieniem pracowników: chętnie pomagali nam dostać się do dogodnego miejsca w sali koncertowej. Inaczej było w kinie "Kosmos", gdzie mieliśmy częste starcia z niezyczliwym bileterem. Napisaliśmy nawet list do kierownika kina ze skargą na nieodpowiednie traktowanie osób niepełnosprawnych. Nieraz trzeba było "wychowywać" i uwrażliwiać ludzi na problem niepełnosprawności. Wojciech umiał jednak dystansować się wobec nietaktownych zachowań. W różnych trudnych sytuacjach potrafił się zdobyć na żart i autoironię.

Jedną z takich sytuacji przeżył jednak bardzo boleśnie. Było to już po naszych studiach. Ja podjąłem pracę w Bibliotece Zakładów Filozofii Teoretycznej, a Wojciech "wylądował" w redakcji Encyklopedii Katolickiej jako starszy dokumentalista. Przylgnęło już wówczas do niego niezасłużone piętno "heglowskiego ukąszenia" i zepchnęło go poza obręb ukochanej filozofii. To była gorzka miara odrzuconej i niespełnionej miłości. Ale prawdziwy ból przyszedł później. Po pewnym czasie bowiem Wojciech odszedł z pracy leksykograficznej, czuł bowiem, że się w niej nie realizuje. Dzięki inicjatywie docentów

księdza Stycznia i Jerzego Gałkowskiego otrzymał zajęcia zlecone, ćwiczenia z etyki ogólnej. Prowadził je z typowym dla niego zaangażowaniem i zapałem - realizował się w nich przecież na polu filozofii i w ramach macierzystego wydziału. Podczas rocznego pobytu naukowego Wojciecha w Niemczech (w roku akademickim 1989-1990) zajęcia te przejęła inna osoba. Po powrocie Wojciech już zajęć dydaktycznych nie otrzymał. Ówczesnemu dziekanowi na pewno trudno przyszło zmierzyć się z podjęciem tak ważnej decyzji w tej bezprecedensowej sprawie. Wojciech był już wtedy pracownikiem Instytutu Jana Pawła II, ale pozbawiony zajęć dydaktycznych nie mógł realizować w pełni swojego powołania - aż do czasu, kiedy objął katedrę filozofii wychowania na Wydziale Nauk Społecznych.

Inną naszą wspólną pasją były książki. Już na początku studiów zaczęliśmy gromadzić nasze księgozbiory. W tamtych czasach kupowanie książek nie było łatwe, trzeba było na nie wprost "polować". W księgarniach ogólnie dostępne były tylko pozycje z zakresu marksizmu i leninizmu. (Chociaż słynne opowieści o Leninie, wydrukowane po polsku w ZSRR, a sprowadzane w kilku rzutach, "na pniu" wykupywali w ówczesnej księgarni z literaturą rosyjską - dziś mieści się tam księgarnia "Ezop" - właśnie studenci filozofii z KUL. Pamiętam radosną lekturę tychże na jakimś seminarium - był to humorystyczny przykład swoistego hagiograficznego języka komunistów). Cenna literatura pojawiała się jednak w księgarniach w nielicznych tylko egzemplarzach. Musiałem ją dla nas zdobywać różnymi sposobami. Wiele trzeba było "wychodzić", wystać w kolejkach, wyprosić i wyszperać w antykwariatach. W księgarni na rogu ulic Chopina i Krakowskiego Przedmieścia w dziale filozoficznym pracowała życzliwa pani Irena, która chowała pod ladę po kilka egzemplarzy i wiedziała, komu należy je sprzedać. Umiała odróżnić prawdziwych bibliofilów od przypadkowych klientów lub tak zwanych "koników", kupujących książki w celu odsprzedania ich z zyskiem. Większość książek z bogatej biblioteki Wojciecha przyniosłem na własnych plecach. Później, już jako bibliotekarz zakładów filozofii, często wykorzystywałem dawne życzliwe znajomości; pomagałem zdobywać książki, także prywatnie, pracownikom naukowym, między innymi dlatego, żeby - mając własne - nie wypożyczali i nie przetrzymywali egzemplarzy, które potrzebne były studentom. Strategia taka poniekąd - tu użyję powiedzenia żywej legendy KUL, pana doktora Stanisława Majdańskiego⁴ - działała również "kulotwórczo"...

⁴ Pan doktor Majdański to "żywa encyklopedia" historii KUL (a tutejszej filozofii w szczególności), nie tylko jego sytuacji społecznej i politycznej, ale także kondycji naukowej oraz różnorodnych aspektów życia akademickiego tamtych i obecnych czasów. Gdyby tylko dał

Jak już wspominałem, nie uczestniczyliśmy z Wojciechem w seminariach Karola Wojtyły. Wybór matematyki kosztem etyki skutkowało utratą Mistrza! Przypominam sobie z czasu naszych studiów dwa momenty związane z przyszłym Papieżem. Czekaliśmy w starej auli na przyjazd Karola Wojtyły na opłatek ogólnouniwersytecki - ja z perspektywy podestu dla chórzystów, bo wtedy już zapisałem się do chóru i brałem udział w koncercie kolęd. Przyjazd się opóźniał. Czekaliśmy około trzech godzin. Pamiętam ogromny entuzjazm, kiedy wreszcie pojawił się kardynał Wojtyła, i wielkie ciepło powitania. Drugie zdarzenie, które zapamiętałem, miało miejsce w roku 1976 lub 1977: kardynał Wojtyła szedł razem z księdzem Stycznem korytarzem na drugim piętrze. Zatrzymał się, przywitał. Ksiądz Styczeń uprzedził nas wcześniej, że Karol Wojtyła będzie właśnie tamtędy przechodził, Wojciech skorzystał więc z okazji, żeby podziękować za pomoc w uzyskaniu wózka elektrycznego z Niemiec. Wózek elektryczny był bardzo kosztowny i w tamtych czasach w Polsce niedostępny. Bodajże podczas pierwszej wakacyjnej pracy w katolickim szpitalu w Berlinie Wschodnim (St. Hedwig - Krankenhaus) dotarłem jednak do folderów ze sprzętem

się namówić i zechciał opisać to wszystko, co zasłyszał i w czym pośrednio lub bezpośrednio uczestniczył, powstałaby chyba najbarwniejsza w anegdotycznej oprawie duchowa panorama naszej Alma Mater.

Doktor Majdański sam zresztą nie mało tych jasnych i radosnych barw KUL-owi przysporzył. Wystarczy wspomnieć chociażby klimat anegdot, jakie o nim krążyły już za naszych czasów. Atmosfery jednej z nich często doświadczyliśmy z Wojciechem niejako z autopsji, obserwując cosemestralny rytuał zaliczeń z ćwiczeń z logiki czy metodologii filozofii (dotyczyło to zwłaszcza studentów kierunków pozafilozoficznych, którzy mniej znali Pana Doktora na co dzień). Widziało się wówczas często, jak studenci będący pod silną presją potrzeby zaliczenia wprost ścigali Pana Doktora po korytarzach i dziedzińcu KUL albo koczowali pod drzwiami sali, w której przepytawał delikwentów (to zaś często przeradzało się w dyskusję bądź monolog egzaminatora, a wtedy czterdzieści minut czy godzina takiego zaliczenia przez jedną osobę to była prawie norma). Mimo to zdarzało się, że otoczony zewsząd zdesperowanymi studentami, okupującymi przyległy korytarz i drzwi sali, Pan Doktor musiał w międzyczasie gdzieś wyjść do miasta w pilnej sprawie. Ku zdumieniu zbyt długo oczekujących na swoją kolejkę pod drzwiami studentów panu Majdańskiemu udawało się mimo to "zniknąć niepostrzeżenie" z pokoju, który poza wspomnianymi oblężonymi drzwiami posiadał tylko jeszcze jedyne okno...

Inna anegdotka dotyczyła swoiście pechowego milicjanta, który nieopatrznie zapragnął ukarać mandatem doktora Majdańskiego, spieszącego na jakieś zajęcia, a przyłapanego przezeń na przechodzeniu przez jezdnię w niedozwolonym miejscu. Wywiązała się między nimi długa dyskusja, a w jej dalszej fazie rozbudowany quasi-scholastyczny wywód pana Majdańskiego, w którym tenże usiłował dowieść zdumionemu i zdezorientowanemu milicjantowi, że oskarżony powinien zapłacić... o wiele wyższy mandat aniżeli ten naliczony mu przez przedstawiciela władzy. Nietrudno sobie wyobrazić odwrócenie ról, jakie po tym nastąpiło, kiedy to Pan Doktor okazał się ścigającym, a milicjant... ściganym przez obywatela, który z "desperacką odpowiedzialnością" chce pozostać w zgodzie ze swoim sumieniem i sumieniem milicjanta i wywiązać się z tak filozoficznie wyłuszczonej powinności wobec państwa!

ortopedycznym - odkryliśmy więc, że urządzenie takie istnieje. Przy jakiejś okazji powiedzieliśmy o tym księdzu Styczniowi, który spontanicznie zwrócił się do Karola Wojtyły. Resztę załatwił już kardynał Wojtyła z jakąś niemiecką organizacją charytatywną.

Wózek wymagał pewnych modyfikacji - należało dorobić pulpit, na którym Wojciech mógłby pisać. Do usprawnień technicznych zapalałem się od razu. Starłem się zrobić coś, co mogłoby Wojtkowi poszerzyć pole wolności, bardziej go usamodzielnic. Dorabiałem uchwyty, objąłem blat blachą miedzianą... Chodziłem z tym najczęściej do ślusarni KUL-owskiej. Kiedy ślusarze dowiedzieli się, że robię to dla Wojciecha, ich życzliwość była ogromna - mogłem korzystać z narzędzi, spawać, przycinać, szlifować. Trochę się znałem na tej pracy, ponieważ ukończyłem technikum mechanizacji rolnictwa.

Za pomocą wózka elektrycznego Wojciech mógł samodzielnie poruszać się w domu i wokół domu. Na uczelni było to niemożliwe ze względu na liczne schody, nadal musiał przyjeżdżać na pchanym wózku. W tamtych czasach nie dostrzegano jeszcze barier architektonicznych, uniemożliwiających poruszanie się osobom na wózkach. Wojciech był jednym z pierwszych niepełnosprawnych studentów na KUL. I chyba jednym z pierwszych, którzy uświadomili osobom podejmującym decyzje, że niepełnosprawni mogą studiować, "zadomowić się" na KUL i że aby ułatwić im funkcjonowanie w murach uczelni, potrzebna jest dobra wola zarówno studentów, jak i jej władz. Kiedy po stopniach wciągałem wózek z Wojciechem, przechylony na tylne koła, niekiedy zdarzały się nieuniknione poślizgi, co poważnie zagrażało nawet życiu Wojciecha. Kilka razy przyszło mi z góry schodów do półpiętra "zjechać na kości ogonowej" - sam się dziwię, że jednak nigdy, mimo naturalnego bezwarunkowego odruchu obrony przed upadkiem, nie wypuściłem z rąk wózka. Kiedyś po takiej eskapadzie zagadaliśmy ojca rektora Krąpca, czy nie warto byłoby pomyśleć o windzie. Rektor odpowiedział, że nie opłaca się budować windy dla jednego człowieka, a studenci mogą się uświęcać, służąc pomocą. Z eschatologicznego i ekonomicznego punktu widzenia było to skądinąd racjonalne uzasadnienie.

Przez całe studia Wojciech mieszkał w domu pomocy społecznej w pokoju czteroosobowym, przez pewien czas jednym ze współlokatorów był pijak... Była to dla Wojciecha swoista gehenna i ciężka droga pokory, o ile wręcz nie upokorzenia. W roku 1978 udało się mu uzyskać tymczasowe mieszkanie w starej kamienicy na ulicy Narutowicza, bez kuchni i bez łazienki (musiał korzystać w tym okresie z łazienki w konwikcie KUL, którą mu gościnnie udostępniano). Zamieszkał tam ze swoją młodszą siostrą Ewą, również studiującą wówczas na KUL. Dopiero w roku 1980, dzięki przyjacielskiemu oddaniu i troskliwemu uporowi Anki Truskolaskiej, która wydeptywała ścieżki w wielu różnych sprawach, oraz

dzięki życzliwej pomocy i wpływowi prorektora Stefana Sawickiego, Wojciech otrzymał mieszkanie spółdzielcze.

W nowym mieszkaniu Wojciecha przy ulicy Puławskiej spotykaliśmy się już nie tak często - obaj mieliśmy liczne obowiązki zawodowe, małżeńskie, społeczne. Wojciech, jak zwykle świetnie zorganizowany i zdyscyplinowany, poszerzył swoje pole wolności na tyle, że nie odczuwałem, abym był mu potrzebny tak często, jak dawniej. Opiekowała się nim już jego małżonka Mirosława (byłem świadkiem na ich ślubie udzielonym przez księdza Stycznia w Kościele Akademickim KUL). Miał też wystarczającą, opłacaną z pensji i honorariów autorskich, pomoc studentów w przemieszczaniu się. O pomoc w pracach mechanicznych i elektrycznych często jednak zwracał się do mnie. W tym bywałem i czułem się przydatny, więc chętnie nadal swoimi umiejętnościami służyłem. Pozwalało to też zachować względną regularność spotkań, które były okazją do rozmów przy kieliszku dobrego wina, likieru lub koniaku: o nowościach książkowych, o filmie, o KUL, o polityce, były okazją do wspomnienia przyjaciół i bliskich... Gdy mój syn Grześ odkrył tę naszą bliskość i wspólne zainteresowania, gdy mógł już podjąć z Wojciechem rozmowy i dyskusje o swoich historycznych fascynacjach, filmowych upodobaniach i politycznych preferencjach - często mnie namawiał do wspólnych odwiedzin u Wojciecha; potem zaś z odległej perspektywy miejsca studiów także upominał, abym nie zamykał się w sobie i częściej spotykał się z przyjaciółmi i bliskimi mi ludźmi. Mimo to w różnych okolicznościach zatracąłem otwartość na towarzyskie kontakty i oddalałem się nieraz także na zbyt długo od Wojciecha. Mawiał wtedy do mnie z łagodnym wyrzutem: "Nie pokazujesz się, nie odwiedzasz, żeby pogadać. Zobaczysz, jeszcze Ci kiedyś niespodziewanie umrę...". Ale - jak wielu jego przyjaciół - przywykłem już do tego, że przecież dzięki żelaznej woli i optymizmowi "wygrzebuje" się z częstych zdrowotnych kryzysów. Ta siła woli budziła respekt i uspokajała, usypiała. Przecież nieraz słyszałem, że przy jego chorobie - postępującym zaniku mięśni - chorzy rzadko dożywają czterdziestego roku życia. Pod tym względem Wojciech dawno przekroczył swój Rubikon... A żył przecież nadal aktywnie i twórczo. Dlatego, gdy otrzymałem od niego e-mail, nie przeczuwałem nawet, że to ostatnie już jego słowa do mnie i ostatni kontakt.

Od: chudy@kul.lublin.pl

Data: 12 lutego 2007 13:09

Do: Edward Ferenc

Temat: Z przykrością i żalem

Drogi Edwardzie,

z przykrością i żalem muszę odwołać nasze wspólne plany norweskie. W związku z dość znacznym pogorszeniem się mojego stanu zdrowia najprawdopodobniej najbliższe cztery miesiące będę na urlopie "dla poratowania zdrowia" lub na zwolnieniu lekarskim. Nawet najprzyjemniejsza wycieczka latem wymagałaby ode mnie "końskiego zdrowia". Zresztą byłeś świadkiem tych uwarunkowań w czasie jednej z podróży do Warszawy.

Przeprós swoich Przyjaciół. Nie sędzę, abyśmy mogli w przyszłości podjąć raz jeszcze taką inicjatywę.

Pilnuj le Carrégo i w ogóle trzymaj kciuki za moje oskrzela i inne "fragmenty".

Pozdr.

W. CH.

Pomyślałem, że wkrótce odpowiem mu ustnie, podczas spotkania, gdy tylko wzmocni się na tyle, abym mógł go nawiedzić. Nie odwoływałem przeto u przyjaciół w Norwegii rozpoczętych starań pośród tamtejszej Polonii, aby Wojciech mógł przyjechać latem z wykładami do Oslo. Wysłałem im nawet listę tematów do wyboru, którą Wojciech wcześniej przygotował.

Nie doczekał już planowanego wyjazdu do Norwegii, tak jak nie doczekał swojego powrotu na Wydział Filozofii KUL z wykładami z filozofii Hegla, które po tylu latach pokornego oczekiwania, dzięki osobistej inicjatywie profesora Piotra Gutowskiego, miały wreszcie powrócić - w ramach rocznego wykładu monograficznego - w Katedrze Historii Filozofii Nowożytnej i Współczesnej. Nadal jednak oficjalnie nie zostały wpisane do programu studiów na filozofii. A razem z Wojciechem my wszyscy nie doczekaliśmy tego, by jego dorobek naukowy zaczął także wzbogacać dorobek wydziału, z którego wyrósł i z którym czuł się zawsze związany. Dla wielu z nas Wojciech był darem Opatrzności, ale nie zawsze umieliśmy ten dar docenić. Był przecież wytrawnym KUL-owskim filozofem, nigdy jednak nie został etatowym pracownikiem Wydziału Filozofii KUL! Bardziej spostrzegawczy, przewidujący, otwarci i spontaniczni w tym okazali się inni, skoro potrafili Wojciecha nie tylko przygarnąć na Wydział Nauk Społecznych KUL, lecz także zaoferować mu samodzielną katedrę w Instytucie Pedagogiki oraz umożliwić pracę naukową i dydaktyczną - czerpiąc z tej współpracy pełną garścią dla dorobku pedagogiki KUL owoce jego świeżej i oryginalnej myśli dotyczącej filozofii wychowania, pomnażane także wkładem pracy szeregu seminarzystów i wypromowanych w ciągu tych kilku lat magistrów i doktorów.

Uczył nas wrażliwości i otwartości na ludzi niepełnosprawnych. Także w tym był szczególnym darem dla KUL. Przełamywał przecież stereotypy myślenia i administracyjne bariery. Gdy widzę dziś na naszym uniwersytecie tylu niepełnosprawnych studentów, dostosowywanie rozwiązań architektonicznych z myślą o ich potrzebach, funkcjonowanie Biura Pełnomocnika Rektora do spraw Studentów Niepełnosprawnych i wiele innych inicjatyw - postrzegam to także jako rezultat owego niezwykłego świadectwa, które po sobie zostawił Wojciech. Uczył naturalnego, otwartego traktowania niepełnosprawnych, bez taryfy ulgowej, bez niepotrzebnej cikliwości i wścibskiej ciekawości, ale z należyтым szacunkiem dla ich godności. Oczekiwał od bliźnich zwykłego odruchu życzliwości, pozwalającego dostrzec drugiego człowieka w potrzebie i wyjść mu naprzeciw.

Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że w duchu takich zdrowych relacji wytworzyła się pomiędzy nami swoista symbioza, wyrosła na przyjaźni i wzajemnej pomocy. Było to współdziałanie w duchu ewangelicznej zasady: "jeden drugiego brzemiona noście" (Ga 6, 2). Pielęgnowałem więzi tej przyjaźni i wynikające z niej oczywiste międzyludzkie relacje. Ja wspierałem go motorycznie - on zaś, świadomie czy nieświadomie, pomagał mi przezwyciężać psychiczne garby dzieciństwa, dodawał otuchy i wiary w siebie, zachęcał. Gdy kończyliśmy już wspólne studia, chciał mnie pociągnąć za sobą drogą filozofii. Pomagał nadawać "właściwe rzeczy słowo" w fenomenologicznej analizie i w naukowej redakcji tekstu, podsyczał moje estetyczne i teoretyczne zainteresowania fotografią, zachęcał do dalszych rozważań nad ejdetyką dzieła fotograficznego, które mogłyby być zwieńczone doktorską dysertacją, inspirował kontakty w celu publikacji mojej pracy magisterskiej i artykułów o fotografii. Myślał też jednak praktycznie - zachęcił mnie, abyśmy po studiach razem ukończyli kurs edytorski. Mówił, że trzeba to zrobić na wszelki wypadek - poszerzało to bowiem pole możliwości zatrudnienia się "dla chleba" absolwentom tak mało praktycznego i mało popłatnego kierunku. Gdy te próby naukowego uaktywniania nie odniosły skutku, bo jednak wolałem poznaną już wcześniej na zasadzie wolontariatu w szkole podstawowej pracę w bibliotece "z miłości do książek i ludzi" (jak to kiedyś ciepło i afirmująco pod moim adresem wyraził w pewnej dedykacji dla mnie ojciec Krąpiec), namawiał do przejścia do Instytutu Jana Pawła II, gdzie mógłbym znaleźć twórcze warunki pracy i szanse dalszego rozwoju. Gdy został samodzielnym pracownikiem naukowym, kierownikiem Katedry Filozofii Wychowania KUL, zachęcał mnie do uczęszczania na jego seminaria i pisania pod jego kierunkiem pracy doktorskiej z zakresu etycznych, społecznych i propagandowych wymiarów fotografii. W tym, że próby te i inspiracje - tak Wojciechowe, jak niegdyś

profesora Stępnia, promotora mojej pracy magisterskiej, a także księdza Stycznia, dyrektora Instytutu Jana Pawła II - spędzili na niczym, nie należy doszukiwać się niczyjej winy.

W pół roku po śmierci Wojciecha uczestniczyliśmy wraz z żoną oraz najbliższą rodziną Wojciecha w kameralnym spotkaniu na Mszy Świętej w jego intencji. Miało ono niezwykle oprawę, odbywało się bowiem w kaplicy domu rekolekcyjno-wypoczynkowego "Promień" w Nałęczowie, a Mszę Świętą odprawił ks. prof. Tadeusz Styczeń, który wówczas tam wypoczywał. Była to okazja do objęcia raz jeszcze modlitewną pamięcią Wojciecha, a w duchu świętych obcowania - do spotkania się z nim nas wszystkich razem w takim gronie po latach. Bardzo długo nie widziałem mamy Wojciecha, Anny. Na pogrzeb nie przyjechała, bo w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat tak trudy podróży, jak i wzruszenia pogrzebowych uroczystości były nad jej siły. Teraz tak kochana przez Wojciecha Mama przyjechała na jego grób. Dla matki, po ludzku biorąc, były to przecież bolesne odwiedziny... A mimo to, gdy spotkaliśmy się w mieszkaniu Wojciecha, przywitała nas jak zawsze swym serdecznym uśmiechem i ciepłym słowem i przekonywała, aby cieszyć się każdą chwilą życia i cenić wszelkie doświadczenia. Z radością mówiła o minionych latach, z pogodną nadzieją mówiła o przyszłości. Snuliśmy plany wizyty u niej w Dąbrowie - w rodzinnym domu Wojciecha, który dwukrotnie odwiedzałem i w którym tak dobrze się czułem.

W tegoroczną uroczystość Wszystkich Świętych Opatrzność dopisała do wymowy tego spotkania jeszcze jedną kartę. Pojechałem na Roztocze, aby odwiedzić groby bliskich zmarłych. Wieczorem, po modlitewnej zadumie na cmentarzach, oglądałem u krewnych lokalną telewizję. Wspominano tych, którzy w minionym roku odeszli do Pana w Lublinie i województwie. Były wspomnienia i zdjęcia pana profesora Jana Czerkawskiego, pani profesor Danuty Paluchowskiej i innych osób. A pośród nich nie zdjęcie, a krótki film z jakiegoś wykładu Wojciecha, z wyciszonym głosem. Wspomnienie podobne do innych, ale jakże przez to przywołanie żywej osoby w ruchu - odmienne. Taki niezwykle "uśmiech Wojciecha zza grobu"... I wtedy właśnie, niemalże w tym samym czasie, nadszedł SMS: "Mama Wojciecha jest już z nim. Wczoraj zmarła na serce".

A zatem: "Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą..."

*

Lublin, 7-8 grudnia 2007

Grzesiu, kochany Synu!

Prosiłeś mnie kiedyś o list, w którym przybliżyłbym Ci czas moich wspólnych studiów z Wojciechem, atmosferę tamtych lat studenckich, ludzi, których spotykaliśmy, profesorów u których studiowaliśmy...

Przyjmij to wspomnienie o śp. Wojciechu w miejsce listu, o który prosiłeś. W dniu, w którym je zamykam, wpisuję się nim w potrójną okoliczność: w pamięć o Wojciechu w sześćdziesiątą rocznicę jego urodzin, w jubileusz Twoich dwudziestych drugich urodzin, a ponadto w kontekst świętowania Twoich urodzin po raz pierwszy w odległym piemackim Gozzano, w nowicjacie Legionistów Chrystusa (Misjonarzy Najświętszego Serca Jezusowego i Panny Bolejącej) - u progu tej drogi, którą wybrałeś, drogi w służbie Bogu i ludziom.

Wielokrotnie przywoływałaś fakt, że Wojciech i Ty urodziliście się niemalże tego samego grudniowego dnia, który wyznacza święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. To właśnie wspomnienie Twoich narodzin w wigilię tego maryjnego święta przywołuje drugie z imion, którymi zostałeś ochrzczony. Wojciecha urodziny przypadły dokładnie w dniu tego święta. A jego drugie imię - Franciszek - to wszak imię zakodowane także w naszym, z węgierska brzmiącym nazwisku. Tak oto nomen omen splata się z tych dat i imion krąg powiązań pomiędzy Wami, który w swej przypadkowości nigdy nie bywa przypadkowy... (...aby ponownie przywołać znane powiedzenie ks. Stycznia). Doszukiwałaś się w tym wspólnoty ducha z Wojciechem, podobieństwa charakterów, zainteresowań, systemu wartości, sposobu patrzenia na świat i życie, jedności serc i umysłów, wynikających ze swoistej zbieżności tych faktów.

Tak lubiłeś odwiedzać Wojciecha w jego domu, rozmawiać z nim, dyskutować, żartować... On także chętnie Cię zapraszał, pytał o Twoje życie licealisty, potem studenta, o sukcesy, o plany na przyszłość. Interesowało go Twoje studenckie życie na obczyźnie, a także Twój ogląd ducha Italii z perspektywy doświadczeń Polaka patrioty. W tym był cały Wojciech. Nie doszło do skutku ostatecznie Wasze spotkanie, które miało się odbyć w Nowy Rok 2007. Zapraszał nas obydwu razem... Ty wówczas, zbyt zmęczony po powrocie z sylwestrowego spotkania we wspólnocie Opus Dei w Warszawie, odłożyłeś je na następny raz, na inny czas. Poszedłem na nie sam. Ale ten następny wspólny czas dla Was już nie nadszedł. Wyjechałeś wkrótce na dalsze studia do Italii, a podczas następnego pobytu w domu mogłeś już jedynie odwiedzić jego grób... Tak oto i Tobie odsłoniła się mądrość owego poetyckiego przesłania ks. Twardowskiego - wprawdzie po czasie, ale z drugiej strony jakże też w czas...

Ufam bowiem, że często pozostajesz - tak, jak mi pisałeś - w modlitewnej pamięci o śp. Wojciechu, a także wierzę, iż on w tajemnicy świętych obcowania czuwa nad Tobą i wstawia się u Pana - w intencji błogosławieństwa Tobie na niełatwej, ale jakże pięknej drodze kapłaństwa, które wybrałeś jako treść i sens swojego życia.

Polecam Twojej pamięci oraz sercu tę - jakże ewangeliczną w swojej wymowie - frazę:
"Śpieszmy się kochać ludzi..."

A zatem: Śpieszmy się...

Twój tata